MARION GILBERT.

Smakowity Królik.

Wypadek ten zdarzył się z winy Prospera, młodego służącego pana Mederic'a Lechalupe, burmistrza miasteczka Monterille, który to Prosper zaniedbał przymknąć drzwiczki u karocy, czekającej przed urzędem gminnym. Wszyscy się na to zgadzali jednomyślnie: dwudziestu świadków wypadku i sam Prosper we własnej osobie. Tylko gosposia stała w bezradnem osłupieniu nad rozbitą taflą szyby, powtarzając nieustannie:

— Czy to ja właściwie zrobiłam? Ale w jaki sposób mój wózek uczynił coś podobnego?

Na chwilę przed tym nieszczęsnym wypadkiem, włościanka zjeżdżała Główną Ulicą na swej furce, której dyszel zawadził o wspomniane drzwiczki i roztrzaskał w tysiączne bryzgi piękną szybę lustrzaną błękitnej karocy, tak dobrze znanej w mieście i w okolicy. Zacna kobiecina, potężna w swej spódnicy fałdowanej i w swym czarnym kaftanie, miała pod wdowim czepcem wyraz tak przerażony, że Prosper uważał za stosowne rozgniewać się na dobre, co, właściwie zważywszy, zdawało się zmniejszać jego winę.

— Tak, to wy, matko Boquet! matko Boquet z Colmoulin! Popatrzcie mi no na te kobiety, co to nawet powozić nie umieją! Zostaje się na swej zagrodzie i wysyła się pachołka. Nie, popatrzcie mi no tylko na to!

Zaś matka Boquet, wysoko osadzona na swym wozie, niby na jakiejś mównicy, między klatką, pełną skrzydeł i pierza, a dwoma koszami z masłem i jajami, cugle w dłoni a czepiec na bakier, rozpoczęła na nowo swą żałosną litanję:

— Ale jak to się przecież stało? Jak mógł mój dyszel uczynić taką szkodę?

Ktoś wreszcie pobiegł sprowadzić pana Lechalupe, już zajętego w swoim gabinecie załatwianiem kilku spraw bieżących. Burmistrz zszedł ze schodów i stanął wśród gawiedzi rosły, barczysty, silny, piękny i godny, taki właśnie, jakim być powinien zwierzchnik municypalny małego miasta w rozległej dolinie rzeki Canche, wyposażony sam przez się w „aż tyle" akrów ziemi i piękną posiadłość, prawie wielkopańską.

Był to jeden z tych Normanów, nie różniący się zgoła od Wikingów, swych przodków, na zasadzie jednego z owych nawrotów rasy, jakie zdarzają się niekiedy. Pod oschłością pozorną taił serce szlachetne, co wreszcie dla wszystkich przestało być tajemnicą. Cechowała go owa wytworność północna, mająca źródło swe w źrenicach bardzo niebieskich, nieco zmrożonych, w wzroście wyniosłym, w barach olbrzyma, stworzonych, by osadzić zbłąkanego na lodowcu niedźwiedzia. Mawiano o nim: „Pan Lechalupe nie lubi zadawać tonu". Odzywał się rzadko i tylko świadom rzeczy. Teraz, gdy podszedł do karocy z tą dobroduszną powagą, której zawdzięczał swój wybór na Stróża Prawa, wszyscy usunęli mu się z drogi.

— Co tu właściwie zaszło? — zapytał.

Dziesięć głosów ozwało się jednocześnie, zgodnym chórem, w którym Prosper miał partję tenora, a matka Boquet — sopranu.

Włościanka, wzrosła na ośmiu wiekach poddaństwa swych przodków i przeświadczona niezbicie, że sprawiedliwość ma ten, który ją opłaca, zwracając się do burmistrza, wołała całkiem śmiało:

— Przyniosę panu królika, niech się pan nie boi, panie Lechalupe, pięknego królika, utuczonego na mleku i chlebie!

Ale oko pańskie już ustaliło rozmiar winy, już dojrzało prawdę, poprzez gmatwaninę oskarżeń Prospera i usprawiedliwiań się gosposi, zaczem pan Lechalupe wymierzył sprawiedliwość:

— Wiecznie roztargniony Prosperze — zwrócił się surowo do młodego służącego. — Już ja wiem, jak to się stało, moja kobiecino. Jedźcie sobie z Bogiem w dalszą drogę. Szklarz naprawi tę szkodę.

Co powiedziawszy wrócił znów do ratusza, jak Salomon we własnej osobie, przestępujący progi pałacu swego, po daniu świadectwa prawdzie.

* * *

Dokładnie w dwa tygodnie po zajściu wyżej opisanem furka matki Boquet zatrzymała się przed urzędem gminnym, tym razem już nie wyrządzając szkody. Włościanka zsiadła z niej mozolnie, poczem, z trudem. ściągnęła czarny koszyk z pokrywą i ciężko wkroczyła do przedsionka.

Zwróciła się do odźwiernego:

— Czy zastałam pana Mederic'a?

— A czego to właściwie chcecie od pana burmistrza? — zapytał dygnitarz od klamki, z całą pychą ostatniego szczebla.

— A no, przynoszę mu królika, którego mu przecież obiecałam, królika tuczonego na mleku i chlebie. Popatrzcie!...

Uniosła zlekka pokrywy i odźwierny, jego żona, która nadbiegła i ich mały chłopczyk ujrzeli pięknego królika, o zajęczych barwach, wypełniającego cały koszyk swemi kulistemi kształtami.

Na tle tego królika, wywiązał się głośny spór, zażarty i nieustępliwy.

— Cóż to sobie właściwie myślicie, że on pocznie z tym waszym królikiem?

— A no, niech go przecież schrupie! Jest smaczny, jest tuczony na mleku i chlebie.

Wreszcie wytrwałość, uporawszy się, jak to zwykle bywa, ze wszystkiemi przeszkodami administracyjnemi, matka Boquet wkroczyła zwycięsko na szerokie schody.

Na górze zdobyła sobie nowe i wybitne powodzenie. Po wynajdywaniu wciąż innych trudności, woźny i chłopiec biurowy zgodzili się wreszcie pertraktować.

— Królik dla pana Lechalupe?

— I jaki jeszcze: samiec! Tuczony na mleku i chlebie.

Mimo wszystko dano jej do zrozumienia, że burmistrz dnia tego nie zjawi się przed godziną jedenastą. Była zaledwie dziesiąta. Ale kobiecina rozsiadła się z tym niewyczerpanym zasobem cierpliwości, który zależność od pór roku wyrabia w wieśniakach.

Czas upływał. Ludzie przybywali, którzy przyglądali się kumoszce ze zdziwieniem i którym ona, bez zmęczenia, nieodmiennie wciąż tę samą historję powtarzała. Dla sekretarza — i on bowiem przyszedł posłuchać — sięgnęła aż do rdzenia sprawy.

— Stłukłam mu szybę w jego pięknej karocy. Wcale nie umiem powiedzieć, czemu się tak stało. Rozpacz mnie ogarnęła! Ale to dobry człowiek, ani trochę się na mnie nie gniewał. Przynoszę mu królika, tuczonego....

Orszak ślubny właśnie przechodził. Oblubienica zapragnęła spojrzeć na królika, drużba przystroił go kwieciem pomarańczowem. I, oczywiście, w tej to właśnie chwili zjawił się burmistrz, w wielkim pośpiechu, ponieważ przybywał z opóźnieniem.

Włościanka dostrzegła go, zanim był zauważony przez innych i z koszykiem u ramienia, potoczyła się w tę stronę.

— Panie Lechalupe, to ja, wdowa Boquet, z Colmoulin; pan mnie sobie chyba przypomina? To ja, ta sama, która stłukłam pańską szybę, zupełnie niechcący, ma się rozumieć. Przynoszę panu królika, którego mu przyobiecałam.

Całą swą wyniosłą postacią, całym swym chłodem, całą swą wyższością z potrójnego tytułu mężczyzny, dziedzica i zwierzchnika burmistrz przytłaczał zacną kobiecinę. Ale ona, nie dostrzegając nic, poza wagą swego posłannictwa, ciągnęła dalej śmieszna, rozgorączkowana, zapalczywa, nakazująca jednak szacunek, jak wszyscy obstający przy swej sprawie.

— Tuczyłam go na mleku i chlebie Jest smaczny. Niech pan nie grymasi! To samiec. Trudno o coś bardziej kruchego.

Co mówiąc, gosposia chwyciła zwierzaka za uszy i wywijała nim młyńca tuż przed magistrackiem łonem. Wówczas oblubieniec, oblubienica, druchny, drużbowie, a za nimi wszysey weselnicy, poczęli się śmiać, śmiać, śmiać... niepohamowanie. Śmiał się także sekretarz, śmiał się kancelista, śmiał się woźny i chłopiec biurowy, śmiał się również odźwierny i jego wierna połowica, zaśmiał się nawet ich berbeć ubabrany....

Był to vox-populi wcielony, vox-populi rozpętany i przed którym trzeba było schylić czoła.

Widząc to, burmistrz pojął, że nie może iść przeciw prądowi i że stawką będzie jego popularność, jeżeli nie dotrzyma kroku ogólnemu nastrojowi, wobec czego każdy mógł ujrzeć, ujrzeć na własne oczy, pana Mederic'a Lechalupe, poprawnego i chłodnego, jak zawsze, i tak etykietalnego, jak przy doręczaniu nagród, przyjmującego z rąk włościanki, niby w uroczystym ceremonjale jakiegoś obrządku nowego, rudego królika, który szamotał się rozpaczliwie.

Tłum. Elesta.

Redaktor Klemens Orchulski. Odbito w drukarni „Kurjera Łódzkiego".

Łódź w ilustracji

DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO"

Rok V. Niedziela, 30-go września 1928 r. № 40

O kulturę dla polskiej wsi.

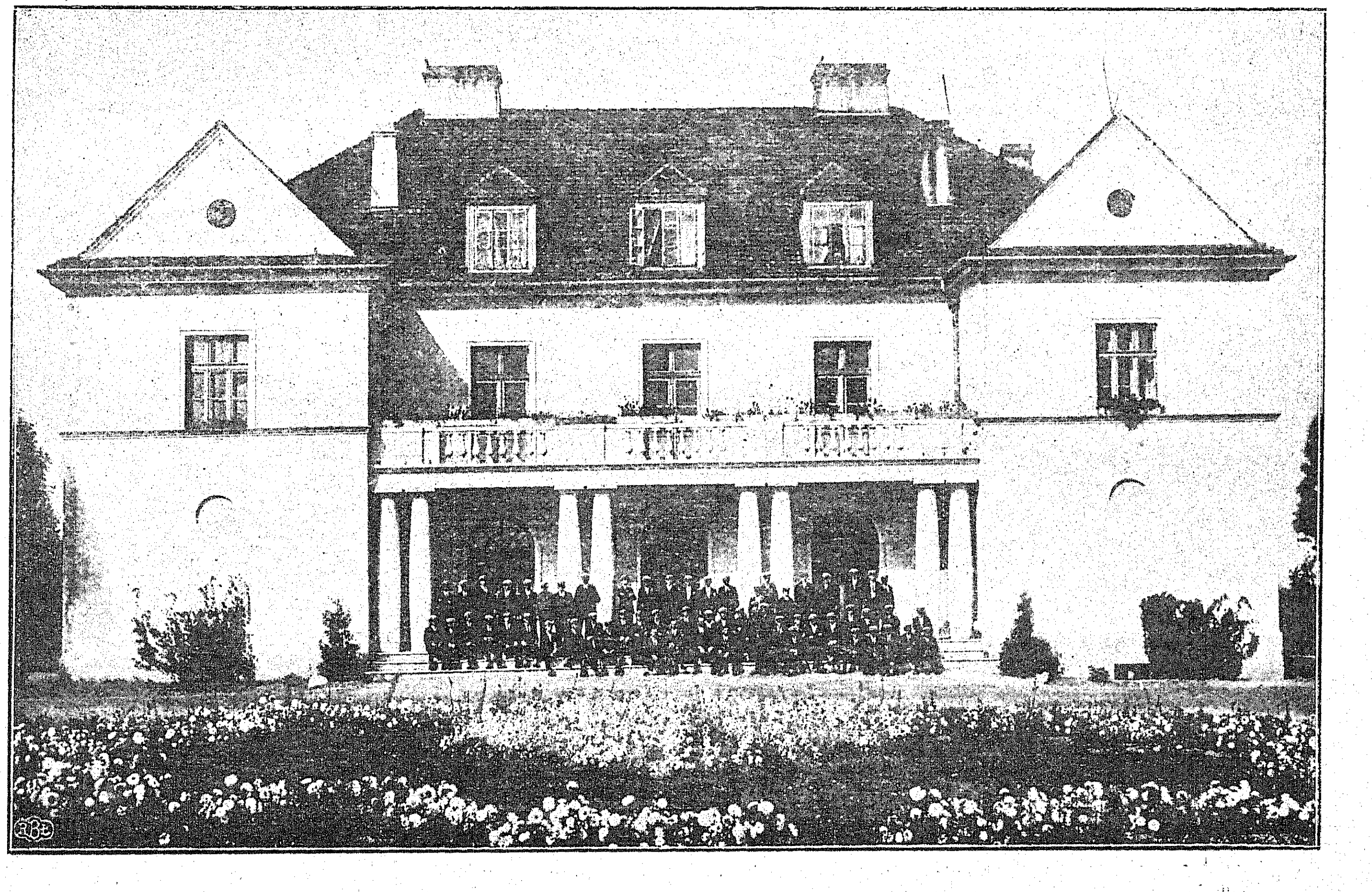

Powiat łódzki szczyci się posiadaniem jednej z najpoważniejszych i najbogatszych w Polsce, wzorowo utrzymanej szkoły rolniczej. Taką twierdzą wiedzy gospodarstwa rolnego jest sejmikowa szkoła rolnicza w Czarnocinie, do której ściągają ze wszystkich powiatów województwa łódzkiego liczni rolnicy, żądni wiedzy i pragnący pogłębić wiadomości w dziedzinie wzorowego prowadzenia gospodarstw rolnych. Kurs nauczania w szkole tej trwa 11 miesięcy.

Powyżej widzimy gmach główny szkoły oraz grupę jej uczniów. Meyer.

TEATRALJA

Nowa sztuka Perzyńskiego. — Z Krakowa. Wegner w Polsce. — Festival salzburski. Rozmaitości.

Wbrew dotychczasowej tradycji, nakazującej Teatrowi Narodowemu inaugurowanie sezonu jednem z klasycznych dzieł polskich w roku bieżącym Narodowy rozpoczął swą działalność wystawieniem sztuki polskiej z repertuaru najnowszego, mianowicie komedji Wł. Perzyńskiego p. t. „Dziękuję za służbę". Nie kwestjonując bynajmniej prawa dyrekcji do wprowadzania pewnych, skądinąd może nawet pożądanych inowacyj zwyczajowych, wypada stwierdzić dość względny sukces najnowszej sztuki autora „Lekkomyślnej siostry", dający się określić słowami „succes d'estime" „Dziękuję za służbę" ma doskonałą ekspozycję i świetny początek (akt 1-szy); nie posiada natomiast — ciągu dalszego i końca, które to braki muszą czynić każdy utwór sceniczny kalekim i niedojrzałym. Bohaterką sztuki jest kobieta niemłoda, która z winy egoistycznego męża nie znalazła szczęścia w pożyciu wspólnem; nadzieje, zwrócone w stronę dorastających dzieci, które mają okupić niewesołą przeszłość małżeńską, okazują się zawodne. Dzieci wrodziły się w pana - męża, a matkę traktują również tylko jako służebnicę i istotę jakgdyby niższą. W duszy ostatecznie zawiedzionej kobiety rodzi się wreszcie bunt; potulność i uległość dotychczasowa przeradzają się w palące pragnienie wyjścia z ciasnego koła domowych obowiązków. Kobieta — żona i matka postanawia zacząć żyć dla siebie, znaleźć sobie wreszcie uncię należnego jej osobistego szczęścia. Dlatego więc rzuca dom rodzinny i „dziękuje za służbę" u jego ogniska, służbę twardą a niewdzięczną.

Taki jest punkt wyjścia i pomysł główny w najnowszej sztuce Perzyńskiego, zakreślony przez autora z doskonałą znajomością środowiska, z zastosowaniem całej wyrazistości barw psychologicznych osób działających. Niestety — komedja poczyna utykać z końcem pierwszego aktu; dwa następne, pomimo żywości djalogu i świeżości dowcipu, nie są rozwinięciem dramatycznego łańcucha sztuki, lecz raczej obracaniem się w kółko i ukazywaniem publiczności z różnych stron tych samych tego łańcucha ogniw. Oddając Perzyńskiemu wszystko, co mu się należy, z tytułu wielkiego talentu i mocno utrwalonych w szeregu innych sztuk — zasług autorskich, krytyka stołeczna zakwalifikowała „Dziękuję za służbę" do utworów słabych, niedociągniętych, niedopracowanych. Dużą przysługę oddały autorowi staranna reżyserja nowego dyrektora Teatru Narodowego, p. Chaterskiego oraz godna najżywszego poklasku gra protagonistów komedji w osobach p.p. Dulębianki, Oli Leszczyńskiej, Justjana, Różyckiego i Kurnakowicza.

Teatr Miejski im. Słowackiego w Krakowie, pozostający pod kierownictwem dr. Z. Nowakowskiego, rozpoczął sezon w tych dniach „Różą" Żeromskiego, której inscenizacja odbiegła znacznie od wzorów, zastosowanych dwa lata temu na scenie warszawskiego teatru im. Bogusławskiego. Realizm niektórych fragmentów, tak okrutnie podówczas pokreślany, został w Krakowie wprowadzony w łożysko, bardziej teatrowi odpowiadające. Życiu tłumów nadano w Krakowie charakter zindywidualizowany, strzegąc się przesadnej i rażącej mechanizacji. Pod reżyserską ręką dyr. Nowakowskiego, całość trudnego widowiska wypadła w sposób więcej, niż zadawalający. Obsada „Róży", składająca się przeważnie z najmłodszych sił aktorskich, dała poznać parę interesujących talentów, wśród których wymienić wypada przedewszystkiem pp. Kaczmarskiego (Oset), Burnatowicza (Zagozda), Miodońską (Oleś), Szymborskiego i Miarczyńskiego (agenci). Znacznie mniej fortunnie wypadła rola Czarowica w interpretacji p. Dąbrowskiego, który nie posiada jeszcze dostatecznych środków do sprostania takiemu zadaniu. Dobre i efektowne dekoracje skomponował p. Różański.

Druga premjerą sezonu w Teatrze Miejskim w Łodzi było wystawienie „Dziejów grzechu" Stefana Żeromskiego, w układzie dramatycznym i inscenizacji L. S. Schillera. Rolę Ewy kreowała z wielkim talentem dramatycznym p. Hilda Skrzydłowska. Powyżej fragment jednego z obrazów.

W najbliższej przyszłości Kraków będzie miał nielada sensację artystyczną. Oto na scenie teatru tamtejszego wystąpi kilkakrotnie znakomity tragik niemiecki Paweł Wegner, w najlepszych swych kreacjach, w „Otellu" i „Zbójcach". Po występach krakowskich Wegener ma zamiar podobno odwiedzić Warszawę i Lwów, gdzie również wystąpi gościnnie. Wspominając zeszłoroczne występy Moissi'ego, publiczność polska, w związku z gościną Wegenera, będzie miała bogaty materjał do porównań i wniosków.

Festival z Salzburgu, będący od r. 1920, jedną z największych dorocznych uroczystości teatralnych w Europie, odbył się niedawno z niemniejszą świetnością i przy takim samym napływie gości, jak za lat poprzednich. Inicjatorami fesivalów salzburskich byli w swoim czasie Reinhardt, Ryszard Strauss i Hugo Hofmannsthal. Obecnie przedstawienia odbywają się przy udziale najznakomitszych aktorów niemieckich, na pięknym placu przed katedrą, w specjalnym teatrze festivalowym, przerobionym artystycznie z gmachu t. zw. ujeżdżalni oraz w małym, barokowym teatrzyku miejskim. W roku bieżącym, prócz słynnego misterjum „Jedermann" na placu katedralnym, wystawiono w gmachach teatralnych „Turandot", „Fidelia", „Sen nocy letniej" oraz „Zbójców" — Schillera w nowej inscenizacji Reinhardta z udziałem Moissi'ego (Franciszek Moor) i Pawła Hartmanna (Karol Moor). W teatrzyku miejskim odegrano „Ifigenię na Taurydzie" Goethego, z Heleną Thimig w roli tytułowej i Moissi'm jako Orestesem. Prócz przedstawień teatralnych podczas festivalu odbywały się koncerty symfoniczne i kameralne wiedeńskich filharmoników pod dyrekcją Schalka i Waltera i koncerty kościelne, w których uczestniczyły wspaniałe, znane szeroko organy katedry salzburskiej. Międzynarodowe tłumy, zapełniające rozgwarem urocze miasteczko tyrolskie w okresie festivalów, miały i w tym roku obfitość najprzedniejszych wrażeń artystycznych.

Delta.

——:o:——

W dniu 29 ub. m. zakończył się w Kaliszu turniej tennisowy Mistrzostwo miasta zdobył powtórnie p. Józef Kiernożycki (X) Powyżej członkowie zarządu oraz uczestnicy turnieju.

W dniu 14 b. m. powróciła z dorocznych manewrów 10 dywizja piechoty stacjonująca w Łodzi. Przemarsz oddziałów nastąpił w obecności generalicji oraz przedstawicieli władz państwowych z p. wojewodą Jaszczołtem na czele.

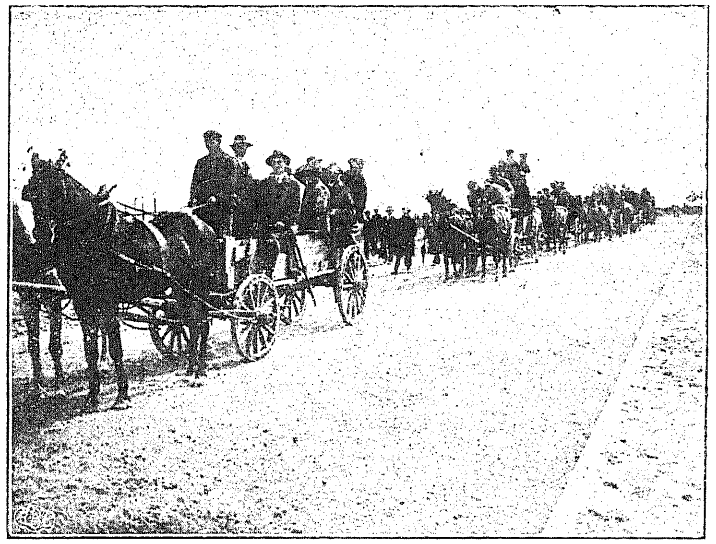

Uroczyste otwarcie ruchu kołowego na przedłużonym odcinku ul. Aleji Unji, na Polesiu Widzewskiem. Zdjęcie przedstawia przejazd pierwszych wozów. Meyer.

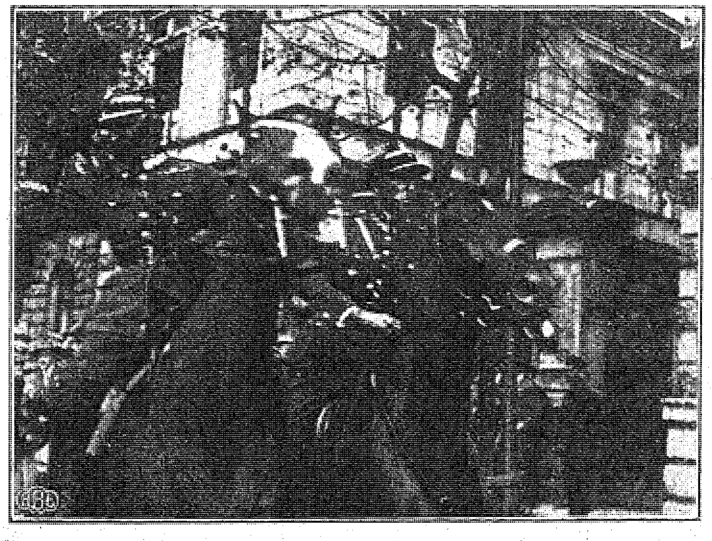

Fragment z powitania przez mieszkańców m. Łodzi powracających z manewrów oddziałów 10 dywizji piechoty.

Artysta Teatru Miejskiego w Łodzi, p. Żabczyński, który w „Dziejach grzechu" stworzył kreację Szczerbica.

Fragment filmu p. n.: „Tułaczka Księżnej Trubeckiej". Role główne kreują Mady Christians i Aleksander Murski.

Wśród obcych.

Ralph Forbes w filmie „Wojna i Miłość".

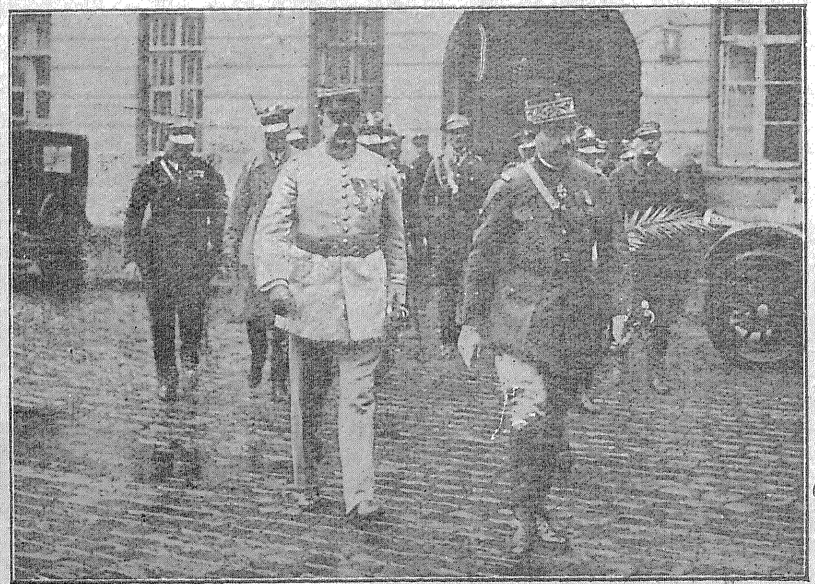

Nowy szef misji wojskowej francuskiej w Polsce, generał Denain, złożył wieniec na mogile Nieznanego Żołnierza w Warszawie.

Kobieta z Burmy, przystrojona według estetyki i zwyczajowości tego kraju.

Artystka teatru „Morskie Oko", Alicja Halama, mimo bardzo młody wiek, cieszy się wielką popularnością i szczerą sympatją publiczności.

P. Marja Żelska, urocza artystka teatru „Morskie Oko", której wdzięk i talent zyskały ogólne uznanie i sympatję.

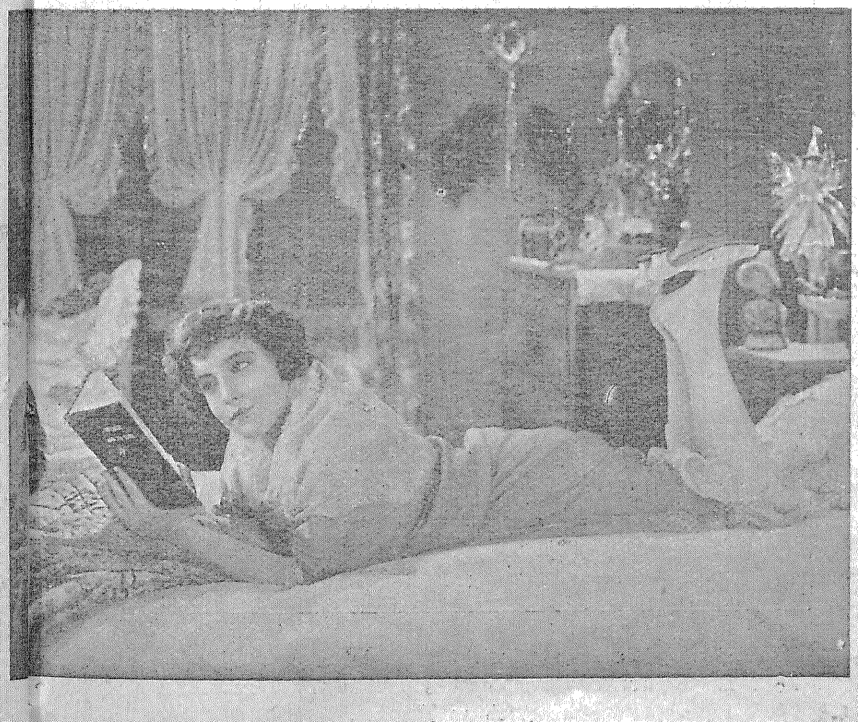

Lektura pięknej pani.

P. Stetson, małżonka posła amerykańskiego w Warszawie.

Łódź na zawodach strażackich w Turynie.

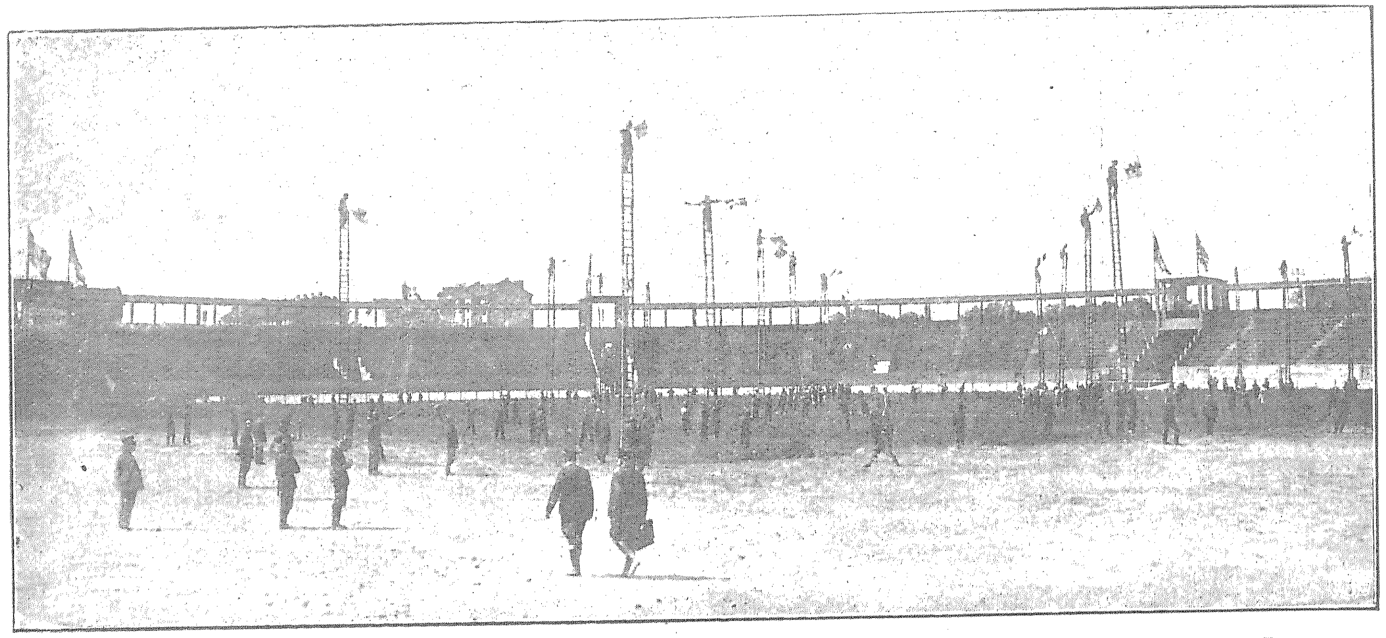

Łódzka Straż Ogniowa Ochotnicza na międzynarodowych zawodach w Turynie zdobywa mistrzostwo świata. Powyżej fragment strażaczich zawodów konkursowych z drabinami składanemi. W głębi na tle piętrzących się drabin rozściela się olbrzymich rozmiarów trybuna. przepełniona publicznością włoską.

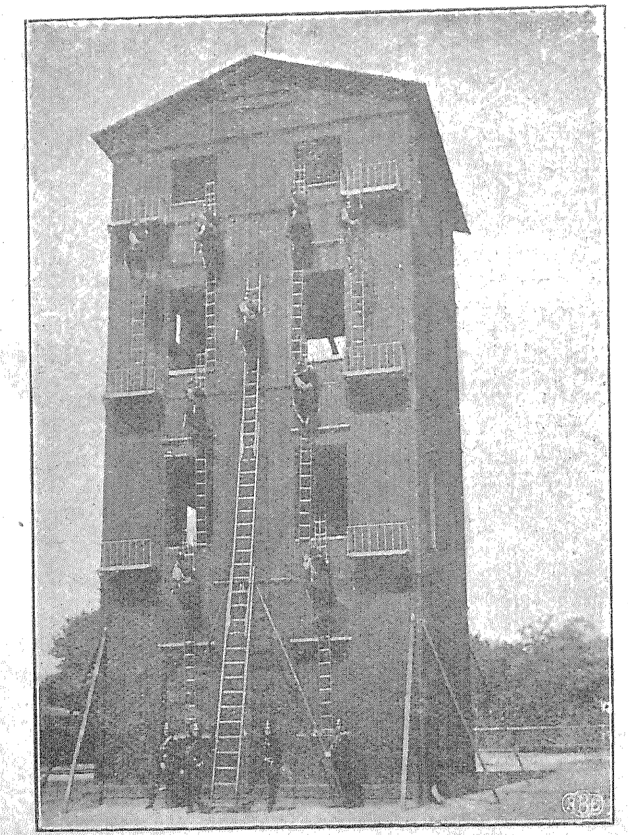

Dzielni strażacy łódzcy w czasie ćwiczeń, wykonanych na wspindini w Turynie, wykazali niezwykłą rutynę w drabinkowem wspinaniu się po stromych ścianach wzniesiema.

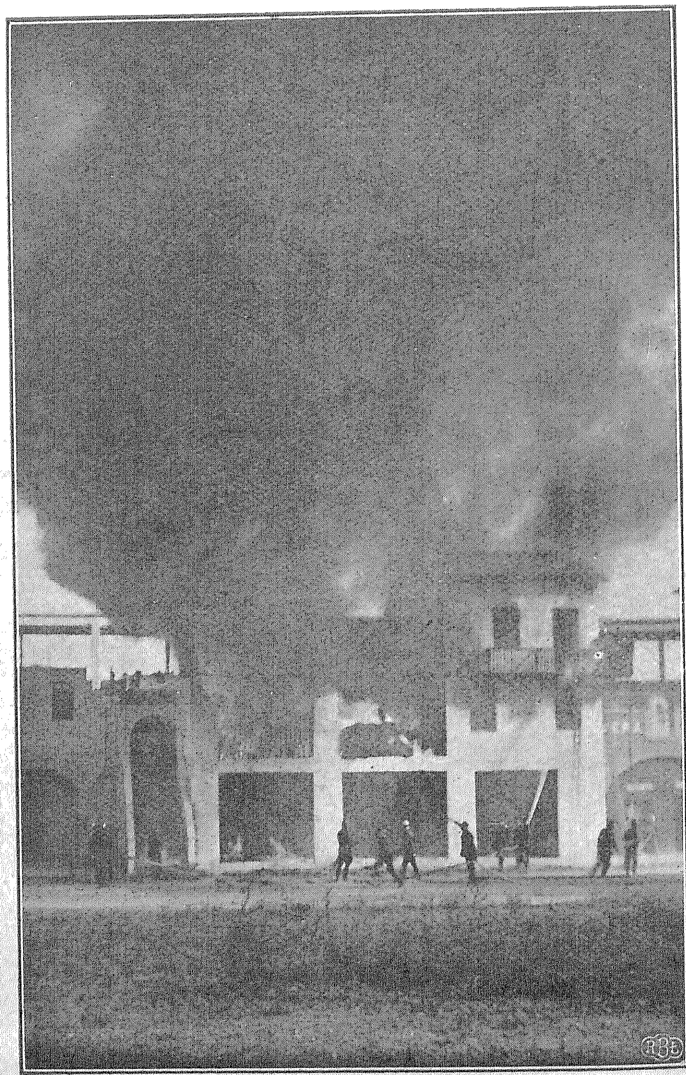

Efektowne zdjęcie zaimprowizowanego pożaru zagrody wiejskiej i akcji ratunkowej na międzynarodowych zawodach strażackich w Turynie.

Kult Terpsychory w szkole rytmiki, plastyki i tańca artystycznego H. Krukowskiej w Łodzi.

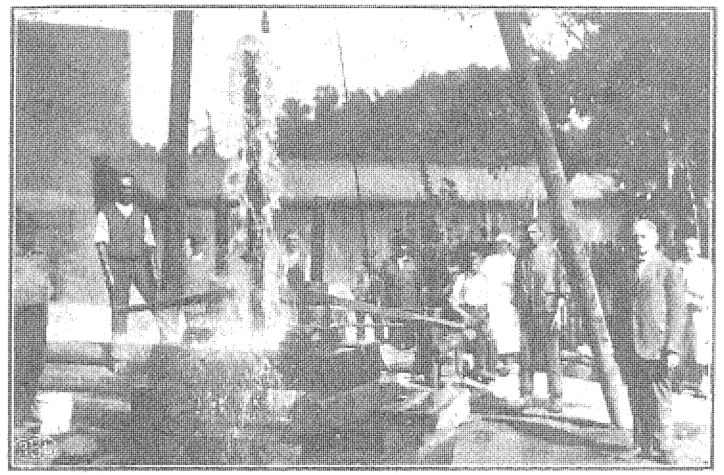

Na posesji szpitala miejskiego św. Trójcy w Kaliszu nastąpił przy robotach wiertniczych obfity wytrysk strumienia ciepłej wody, posiadającej temperaturę 17° Celsjusza. Wysokość strumienia wynosi 4 i pół metra. Na zdjęciu wytrysk strumienia.

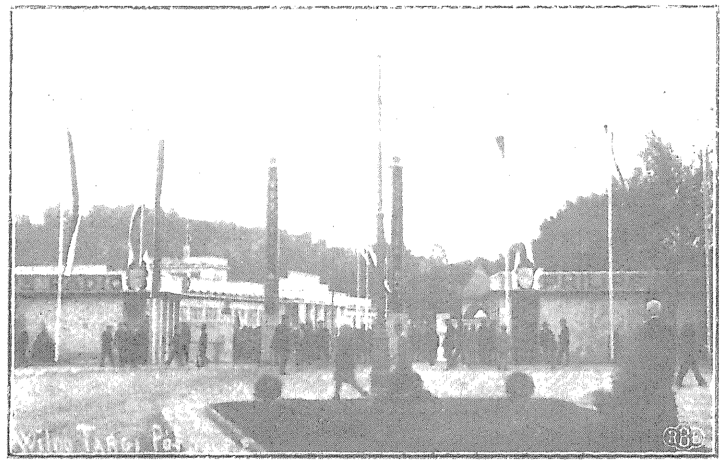

Fragment Targów Północnych w Wilnie. Powyżej obeliski wejściowe zdobione ornamentacjami i herbami powiatów: oszmiańskiego, trockiego, lidzkiego, brasławskiego, nowogródzkiego i wileńskiego.

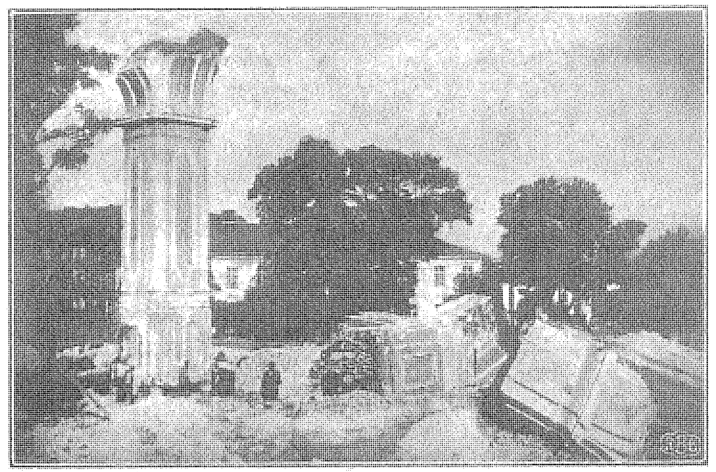

Rozbiórka cerkwi w Kaliszu. Rycina przedstawia ostatni filar przed rozbiciem.

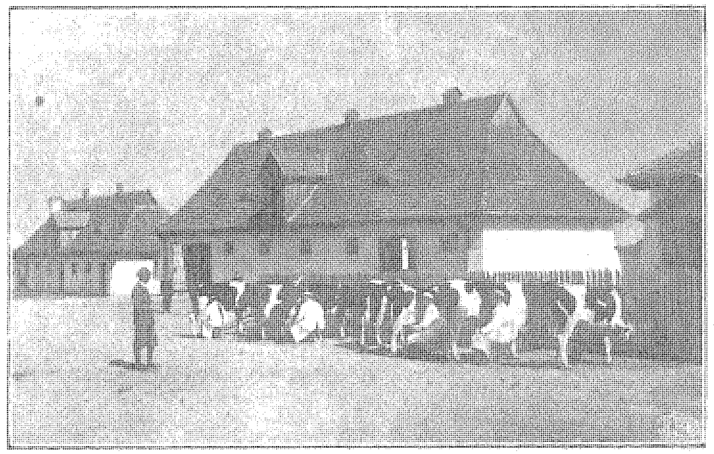

Szkoła Gospodarstwa Rolniczego w Czarnocinie. Na zdjęciu poglądowa lekcja dojenia krów.

Kolonja urzędników miejskich w Łodzi. Na ukończeniu 15 domków przy ul. Tkackiej.

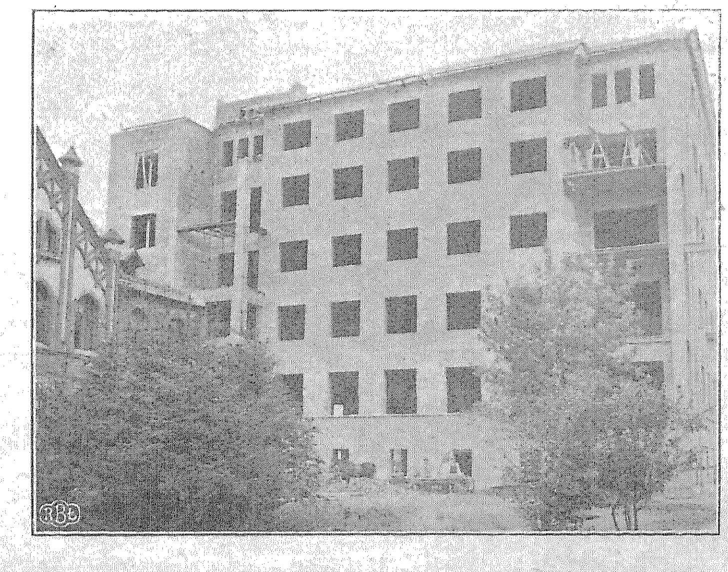

Budowa nowego gmachu szpitala ewangelickiego, mieszczącego się w Łodzi, przy ul. Północnej 42. Meyer.

KLAUDJUSZ ORVAL.

Szczęście Doirel'a,

Światła reflektorów podłużnemi smugami słały się po wilgotnym asfalcie chodników. Naczelny inspektor Doirel, nawskroś przejęty drobnym, od samego rana padającym deszczykiem, pośpieszał kroku:

— Psi czas! — mruczał pod nosem.

Dla zgoła niepotrzebnej inspekcji strawił całe popołudnie na dworze, to też smagany zawieruchą, dygocąc z zimna, klął na czem świat stoi.

— Wszystko się na mnie dziś sprzysięgło! Jakiś feralny dzień, do licha!

Nagle, w chwili, kiedy dochodził do skrzyżowania ulic, krótki płomień błysnął mu przed oczyma i odgłos strzału obił się o uszy. W infinitezymalnem okamgnieniu przed wystrzałem Doirel dostrzegł przytuloną do muru sylwetkę i instynktownym ruchem skoczył w bok. Poczem miotany wściekłym gniewem rzucił się w pogoń za znikającym w ciemnościach cieniem.

— Nie! — mówił do siebie, biegnąc, głosem drżącym ze złości. — Za wiele już tym razem! Dość tego!

Był to trzeci zamach, którego uniknął, w ciągu dziesięciu dni i pędząc co sił w nogach, przysięgał sobie, że ostatni. Już miał dopaść zbiega, gdy ten znikł nagle na rogu jednej z ulic.

Doirel przystanął, nasłuchując. Martwa cisza zapanowała wokoło.

— Zaryłeś się w jakiś kąt zuchwalcze, — wycedził przez zęby półgłosem — i czekasz na mnie. Zobaczymy! Zapomniałeś, chłystku, że jesteś w mojej dzielnicy. Znam tutaj każdy zakątek. Jest tu jeden dom o dwóch wyjściach, który mi się dziś bardzo przyda!

Rozejrzał się szybko i cofnął wtył: przed pewnym domem przystanął. Na jego dzwonek drzwi się otwarły natychmiast. Długi korytarz, skręcając nagle pod ostrym kątem, doprowadził go do ulicy, w której złoczyńca nań czatował. Stąpając na palcach Doirel zrobił kilka kroków i zobaczył cień na murze. Szyderski uśmiech zjawił się na twarzy inspektora. W ciągu trzech sekund mężczyzna, zwrócony plecami do ulicy został obalony, rozbrojony i unieruchomiony potężną pięścią Doirela, który dygocąc z wściekłości, powlókł swego więźnia kilka metrów ku światłu i przyjrzał się chciwie wylęknionemu, białemu jak płótno jego obliczu w bladym blasku reflektora.

— Nie znam cię — mruknął — ale przysięgam ci, że będziesz gadał!

Podniósłszy brutalnem szarpnięciem drżącego złoczyńcę, zaprowadził go do komisarjatu.

W kwadrans później Doirel, sam wyszedł na ulicę, mocno zaniepokojony. Złoczyńca przemówił. Pod krzyżowym ogniem pytań zeznał, że działał za namową niejakiego Emila Roudier, zbiegłego galernika.

Spiesząc do domu Doirel rozmyślał:

— Roudier nie może mi darować swego pierwszego aresztowania. Musiał się dowiedzieć, że jestem znów na jego tropie i czuwa. Przezorność nakazuje mi zatem również czuwać!

W dwa dni potem inspektor Doirel wsiadł do pociągu. Dla pewnej ankiety miał się udać do jednego z głównych przedmieść. Roztargnionym wzrokiem obrzucił dwie osoby, siedzące w przedziale i zatonął w swych myślach. W chwili, kiedy pociąg ruszał, drzwiczki otworzyły się i jakiś podróżnych zajął miejsce naprzeciwko Doirela.

Inspektor, spojrzawszy przelotnie na spóźnionego, drgnął. Wzrok nieznajomego, wzrok palący, przenikliwy tkwił w jego oczach. Dziwne przygnębienie ogarnęło Doirela niezwłocznie. Nie będąc w stanie uciec przed utkwionemi weń nieruchomo metalicznemi oczami inspektor myślał:

— Znam tę twarz.... I to spojrzenie . To spojrzenie... Ach..,

Nagle podskoczył. Broda, okalająca twarz podróżnego, była przyprawiona; kiedy Doirel siłą wyobraźni odjął sztuczne owłosienie poznał twarde i groźne rysy Emila Roudier.

Inspektor zdecydował się na skok stanowczy. Lecz mózg jego tylko nakazał mu ten krok, mięśnie były bezwładne. Dziwną mocą zniewolone ciało znieruchomiało i Doirel przeistoczył się w kawał bezdusznego mięsa, kołyszącego się na prawo i lewo za każdem stuknięciem wagonu.

Przez pewien czas dręczyła go jeszcze wizja dwojga błyszczących oczu, które niczem świdry, zdawały się przenikać, aż do zbolałego mózgu , poczem niezwalczona senność opanowała go i ociężałe jego powieki zamknęły się, jakby pod naciskiem despotycznego palca.

Raptowny wstrząs obudził Doirela. Pociąg stanął przed chwilą. Osłupiały i strwożony inspektor spojrzał wokoło siebie błędnym wzrokiem. Tajemniczy podróżny znikł. Rozległy się kroki na peronie i jakiś głos wymienił nazwę stacji.

Doirel wyskoczył z przedziału, orjentując się, że stanął u celu swej podróży.

W ciągu całego dnia Doirel czuł się niedobrze. Machinalnie badał i rozpatrywał sprawę powierzoną jego bystrej przenikliwości; — jakieś morderstwo, dokonane w wagonie — ale umysłem był gdzieindziej.

Zły i niespokojny, rozmyślał:

— Uległem magnetycznemu wpływowi. Niema żadnej wątpliwości co do tego. Ale dlaczego oszczędzono mnie, kiedy byłem bezwładną bryłą? Dlaczego? Z powodu obecności dwóch innych podróżnych? Tak, to możliwe... Kiedy jednak wróciłem do przytomności, byłem sam! A zatem....?

O zmierzchu Doirel w poszukiwaniu pewnej poszlaki wrócił do wagonu, w którym popełniono morderstwo, a który stał o dwieście metrów od stacji. Wtem czerwony punkt zabłysnął wśród nocy. Rozległ się turkot zbliżającego się ekspresu. Doirel chciał usunąć się z szyn, lecz nagle członki odmówiły mu posłuszeństwa. Zmęczone myśli kłębiły się w zmartwiałym mózgu. Nazwisko: Roudier, Roudier, — dzwoniło mu w uszach. Doirel przykuty do ziemi, zwrócony był twarzą do pędzącego pociągu. Ostatnim wysiłkiem spróbował uciec, zamknął oczy, aby nie widzieć śmierci.

Nagle skoczył w bok i upadł na asfalt Pociąg go musnął. Doirel wstał, chwiejąc się na nogach. Straszna siła, która go przykuwała do miejsca, opuściła go. Wiatr osuszał zimny pot, spływający mu z czoła. Zataczając się poszedł ku bielejącemu w świetle lamp elektrycznych dworcowi.

* * *

Nazajutrz Doirel dowiedział się, że w jednym z hoteli miejskich popełniono morderstwo. W numerze zastał trupa Emila Roudier. Zegarek zabitego stał na godzinie 7 m. 10. Ekspress, który o mały włos nie zmiażdżył inspektora, mijał stację o tej właśnie godzinie.

Wkrótce potem przyłapano mordercę: był nim dawny wspólnik Roudiera, który się na nim zemścił dla jakiegoś nieznanego powodu.

Przez cały miesiąc rozprawy sądowej karygodna myśl prześladowała Doirela: całą duszą pragnął uniewinnienia zabójcy, który mimo woli ocalił mu życie.

Tłum. Jotsaw.

——(o)——

Szkoła Rytmiki, Plastyki i Tańca Artystycznego H. Krukowskiej i L. Boruńskiej w Łodzi przy ul. Wólczańskiej 57. Powyżej technika akrobatyczna.

Redaktor **Klemens Orchulski.** Odbito w drukarni **„Kurjera Łódzkiego“.**

Łódź w ilustracji

DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“

Rok V. **Niedziela, 7 października 1928 r.** **№ 41.**

Dziś a sto lat temu...

Wspaniałe pomniki postępu, będące owocem pracy kilkuwiekowej wielkich miast, szara i posępna Łódź zdobyła w okresie niespełna jednego wieku. Tem większą stanowią one chlubę miasta, będąc dowodem szybkiego rozwoju i zawrotnego tempa pracy jego mieszkańców.

Jednem z takich pomników rozwoju Łodzi jest instytucja Straży Ogniowej Ochotniczej. Jak olbrzymią jest różnica między jej stanem obecnym a stanem z przed 53 laty, niechaj świadczy nasza rycina, wyobrażająca tę samą straż w jej zaraniu, zilustrowaną w barwnym korowodzie, urządzonym w Łodzi z okazji Tygodnia Strażackiego w dniu 30 ubiegłego miesiąca.

Fot. A. Meyer.